Zeszyt 29. Lwów dnia 20. Października 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(C. d.) Pan Zapolski dowiedziawszy się, że Hrabia aktorkę poślubił, w pierwszej chwili także się skrzywił, ale ponieważ żony nie miał, dla której towarzystwo artystki byłoby może nieodpowiednie, i ponieważ za pierwszą zaraz bytnością dostrzegł swojem okiem bystrem, że hrabina będzie dobrą żoną, więc jak dawniej, a nawet jeszcze częściej odwidzał teraz dom sąsiada.

Romcio miał lat ośm, gdy w domu Hrabiego przyszła na świat córeczka Celina

Dziewczyna była jak matka złotowłosa i czarnooka; rosnąc robiła się coraz piękniejszą. Rodzice kochali ją nad życie i psuli zwyczajnie jak jedynaczkę. Cesia miała tysiące zabawek, najpiękniejsze sukienki, każdy jej kaprys musiał być natychmiast spełniony. Jeżeli pan Zapolski robił z tego powodu czasem uwagi przyjacielskie, Hrabia odpowiadał:

— Kochany sąsiedzie, ja temu dziecku nie umiałbym najmniejszej zrobić przykrości. Zresztą kto wie, czy ich w latach późniejszych nie będzie miała dosyć.. niech więc ma młodość szczęśliwą, aby w razie najgorszym zostały jej przynajmniej miłe wspomnienia.

— Może masz i słuszność Hrabio — odpowiadał pan Zapolski.

Obok zabaw i strojów, rodzice pamiętali także o moralnym pokarmie dla córeczki, a że Cesia miała wielką żywość umysłu, ciekawość i talentów nie mało, więc do lat szesnastu umiała nierównie więcej, niż bardzo wielu młodych ludzi, którzy chlubią się świadectwem z egzaminu dojrzałości. Niejednokrotnie miał sposobność przekonać się o tem sam pan Roman Zapolski, wówczas młodzieniec dwudziesto czteroletni, nikogo bowiem tak chętnie jak jego panna Celina nie brała na egzamin. Ale pan Roman nie należał do tych kawalerów, którzy wstydzą się gdy czegoś nie wiedzą — i dla tego niejednokrotnie toczyła się między nimi rozmowa w tym guście:

— Panie Romanie, nie przypominasz pan sobie, kto pierwszy wynalazł w malarstwie perspektywę powietrzną?

— Nie tylko sobie nie przypominam — odpowiadał zawsze pan Zapolski — lecz w ogóle nie wiem, czy ktokolwiek wynalazł taką perspektywę.

— Fe! wstydź się pan... Jak można takiej rzeczy nie wiedzieć i tem się chwalić.

— A panna Cesia umie dzika obtropić?

— Co? dzika? Jażbym miała tem się zajmować?

— Fe! wstydź się pani! Jak można takiej rzeczy nie umieć i tem się chwalić.

Innym razem sprzeczka między nimi była jeszcze większa. Panna Celina popisywała się znowu erudycją, pan Roman kładł szczególny nacisk na swoje talenta myśliwskie. Ona chciała go koniecznie nagiąć i upokorzyć, on ją przełamać. Były to więc dwie siły równorzędne, które nie wiedziały co znaczy wyraz ustępstwo. Panna Celina podrażniona, rozgniewana, mało że się nie rozpłakała. Przedewszystkiem to ją bolało, że świadkiem jej usiłowań daremnych, był niejaki pan Szymon Kaczorski, który jako nauczyciel dwoch jej kuzynków, przyjechał z nimi na wakacje. Pan Kaczorski słuchając ich rozmowy, zdawał się brać stronę panny Celiny, raz że była piękna, powtóre, że jako światłodawca, musiał bronić nauki, wszakże zdania swego głośno nie wypowiedział. Panienka rozgniewana, nawet obrażona, nie chciała tego dnia rozmawiać więcej z panem Zapolskim i naprawdę się dąsała. A dąsy to nie żarty! Krzyk można przekrzyczeć, płacz można przetrwać, bo sił i łez braknie, ale dąsy!... Niemiłe

są dąsy między małżonkami, lecz o ileż nieprzyjemniejsze są one między ludźmi młodymi, którzy zostają w obec siebie na stopie grzeczności towarzyskiej. W takiem położeniu rzeczy, na dąsy panienki kawaler z pewnością nie znajdzie lekarstwa.

Panna Cesia dąsała się ciągle, nawet po wyjeździe pana Romana, i kto wie czy na dąsach nie byłby jej spłynął nawet cały dzień następny, gdyby nie wypadek z panem Kaczorskim, który ją nie tyle przestraszył, co ubawił. Rzecz się tak miała.

Chłopcy przyszli do wujcia z prośbą, by im pozwolił konno na przechadzkę wyjechać. Hrabia nie miał nic przeciw temu i wkrótce trzy konie stanęły przed gankiem; dwa dla bratanków jego żony, trzeci dla ich nauczyciela. Hrabia uważał konną jazdę za rozrywkę tak naturalną dla każdego młodego człowieka, że mu na myśl nie przyszło zapytać pana Kaczorskiego, czy i on lubi jej używać. Pan Kaczorski znowu wstydził się wyznać, że na koniu nigdy jeszcze nie siedział. Pomyślawszy sobie w duchu, że przecie nie święci garnki lepią, i że cała sztuka w tem polega, by mocno siedzieć i dobrze się trzymać, spojrzał w stronę, gdzie stała panna Celestyna i po dłuższem usiłowaniu, przy pomocy chłopaka, który konia trzymał, dostał się na siodło. Jego elewi uszczęśliwieni rozrywką. do której cały rok wzdychali, ruszyli z miejsca dobrym kłusem. Rumak pana Kaczorskiego bojąc się, by go nie wyprzedzono, dał susa, skutkiem czego jeździec znalazł się odrazu pół ciałem na jego szyi. Mimo to nie stracił przytomności. Uchwyciwszy się oburącz grzywy, pędził dalej, aż do miejsca, gdzie się wieś zaczynała. Tu, jakby ktoś umyślnie chciał panu Kaczorskiemu figla wypłatać, wyskakuje z pierwszej zaraz chałupy bryś kudłaty, za nim pojawia się drugi, trzeci, dziesiąty, i wszystkie głośno szczekając, przyskakują do tylnych nóg wierzchowca. Koń wierzgnął, skutkiem czego pan Kaczorski znalazł się najpierw w powietrzu, o kilka stóp nad siodłem, potem na ziemi. Wielkie jego szczęście, że wiejskie nasze drogi są na wiosnę i w jesieni pełne błota bezdennego a w lecie kurzu; padł też jak na pierzynę, a tumany kurzu podnosząc się na prawo i lewo, taką niespodziankę psom sprawiły, że te kichając w tył odskoczyły. Nie trwało to jednak długo. Oprzytomniawszy, wróciły z większą jeszcze zażartością. Skupione dokoła leżącego, który bał się ruszyć, ujadały pokazując mu białe zęby, co uczniowie zobaczywszy, zatrzymali swoje konie i z największym przestrachem zaczęli wołać:

— Wujciu! wujciu! Pana profesora psy jedzą!

Nadbiegł hrabia, dwór bowiem stał o kroków kilkadziesiąt, nadbiegli wieśniacy i pana Kaczorskiego wybawili z kłopotu. Chociaż cała ta scena była nadzwyczaj komiczna, panna Celina robiła minkę poważną, i panu Szymonowi wynurzyła nawet słowa współczucia. On wziął to za monetę najlepszą; ona tymczasem w duchu śmiała się jak nigdy jeszcze, i wśród tego śmiechu, zapomniała o dąsach.

W kilka dni później, pan Roman znowu przyjechał i znowu się posprzeczali. Takie stosunki trwały długo, całe dwa lata, dopóki pan Roman nie przyjechał nareszcie z miną bardzo uroczystą i nie oświadczył się o jej rękę. Cesia przyjęła to jak rzecz całkiem naturalną, jak coś, czego się oddawna spodziewała, i dlatego nie była ani zakłopotana, ani bardzo uszczęśliwiona. Może miała nawet chęć mu odpowiedzieć, że za niego nie wyjdzie, choć by li dla tego, aby mu dokuczyć; ale gdy mu w oczy spojrzała, które patrzyły na nią tak jakoś szczerze i poczciwie, nie poszła za złym podszeptem tego djabełka kobiecego, który się kaprysem nazywa, i podała mu rękę. Więcej niż ona byli uszczęśliwieni jej rodzice, ale za to niezadowolonym był sam pan Zapolski.

— Wprawdzie jako pełnoletniemu — rzekł — nie powinien bym ci zabraniać tych związków, ale ponieważ jestem ci zawsze jeszcze ojcem, więc jako taki muszę cię prosić, byś sobie raz na zawsze wybił z głowy pannę Celinę.

— Cóż jej ojciec zarzuca? — zapytał syn zdziwiony temi słowami.

— Jej nic, lecz matka! matka!

— Wszak znamy ją wszyscy... jest to przecie kobieta najzacniejsza.

— Prawda, ale rozważ, że była aktorką. To nie dla nas mój kochany, nie! Kto cię może upewnić, że w córce nie odezwą się nigdy instynkta nie nasze...

Znając arystokratyczne ojca zasady, syn nic już nie odpowiedział, a chociaż od tego czasu nie jednę gorzką pigułkę musiał połknąć, Hrabia bowiem usłyszawszy, jak rzeczy stoją, wymówił dom obydwom panom Zapolskim — i chociaż z panną Celiną rzadko się teraz widywał, chyba przypadkiem w mieście, lub na zabawie w sąsiedztwie, uczucie, które w jego sercu tliło, nie tylko nie przygasło, owszem coraz silniejszym buchało płomieniem.

Co do Cesi, ta jakoś teraz o swoim Nemrodzie także częściej i chętniej myślała, a gdy po śmierci pana Zapolskiego, która w rok nastąpiła, Roman przyjechał w roli konkurenta jawnego, nie tylko nie miała więcej chęci z nim się sprzeczać, lecz była by nawet niemało za to ofiarowała, gdyby on mógł na zawsze zapomnieć, że się z nim kiedykolwiek sprzeczała. Ach! wtedy ona zrozumiała, że od lat najwcześniejszych, od pierwszego wejrzenia, Romcio nie był jej obojętnym. A on? Ach! on wiedział to oddawna.

Po skończonej żałobie, ślub odbył się w kościele parafialnym, którego proboszczem od lat dwudziestu kilku był ks. Józef Kaczorski, stryjeczny brat pana Szymona Kaczorskiego, który ukończywszy uniwersytet, rozpoczynał właśnie karjerę sądową.

Młodzi małżonkowie zamieszkali w Przyboczy.

V.

Na wózku wybitym suknem granatowem, a zaprzężonym parą silnych koni, które z koziołka popędzał chłopak w ubraniu drelichowem, pod parasolem z płótna żaglowego i w płaszczu z płótna trochę cieńszego, jechał ze swojej wioski ks. Józef Kaczorski.

Była to figurka niewielka, i jak skwarek wyschnięta. Oczy miał głęboko zapadnięte, kości policzkowe silnie wystające, na głowie resztki jak mleko siwych włosów. W ogóle nie przypominał on niczem naszych proboszczów okrągłych, rumianych, pełnych zdrowia i humoru. Jego wyglądanie nie świadczyło o zdrowiu, a na ustach, rzadko mu się pojawiał uśmiech swobodniejszy. Ks. Józef był ciągle zamyślony i w sobie zamknięty.

Jadąc teraz czytał brewiarz, ale jak tylko wjechał pod las, zkąd widać było dwór w Przyboczy, ucałował książkę i schował ją do rewerendy pod płaszczem, jakby się lękał, by go kto nie zobaczył z brewiarzem.

Gdy wózek koło łąk przejeżdżał, a była już wtedy szósta godzina z południa, jadący usłyszeli w oddaleniu tysiąca kroków gęste strzały. To pan Zapolski strzelał dalej krzyki, chociaż na błotach miał zabawić najwięcej dwie godziny.

Proboszcz wózek zatrzymał i począł się rozglądać; nie mogąc jednak zobaczyć myśliwych, których niewielki pagórek zasłaniał, kazał jechać do dworu.

Pani Zapolska w ubraniu domowem, mając dopiero głowę na bal uczesaną, siedziała w ogrodzie zajęta czytaniem książki w bogatej oprawie. O kilkanaście kroków, na małej łączce Jadzia i Romcio z nianką się bawiły, chcąc ją koniecznie pierwsza w lalkę, drugi w konia zamienić; panna Zofia i Helena konferowały jeszcze z garderobianą, a danserowie nie chcąc gospodyni przeszkadzać, wybrali się w pole na przechadzkę.

Pani Celina jeszcze się dąsała; już to dąsy, zwyczajnie jak u pięknych, nie bardzo biednych i zepsutych jedynaczek, były u niej na porządku dziennym, ale jak dawniej na pana Zapolskiego, tak teraz najczęściej dąsała się na męża. Pan Zapolski, nie mogąc z żony tego narowu wykorzenić, musiał się do niego przyzwyczaić, czyli mówiąc jaśniej przestał sobie z jej dąsów robić cokolwiek, a to ją jeszcze bardziej drażniło. Ponieważ z polowania nie wracał, więc aby czem pokryć swoje niezadowolenie, które przy obiedzie osiągnęło szczyt najwyższy, wzięła pierwszą lepszą książkę i czytać ją zaczęła. Był to dramat „Marion Delorme". Tak w czytaniu zatopioną zastał ją ks. Kaczorski.

Widok proboszcza, wchodzącego do ogrodu, ożywił ją i rozweselił. W mgnieniu oka zginęły gdzieś dąsy i pani Zapolska szybko z ławeczki powstając, aby sędziwego kapłana w ramię ucałować, była uśmiechnięta.

— Serdeczne dzięki za względy łaskawe — kapłan odpowiedział — i gdyby nie zbyt wielkie zajęcie, częściej bym sobie pozwalał tej przyjemności.

— Niechże ksiądz będzie łaskaw usiąść.

Proboszcz siadając mocno się zakaszlał, tak dalece, że aż chustkę musiał do ust przyłożyć.

— Ach, ksiądz jeszcze kaszle! — przemówiła gospodyni z widocznem współczuciem. — Czy napój, który przysłałam, nic nie pomógł?

— Przeciwnie — odrzekł zapytany z uśmiechem — bardzo mi pomógł, bo teraz rzadziej kaszlę i nie wiem zaiste jak pani podziękować za pamięć.

— Jak ksiądz proboszcz całkiem wyzdrowieje, wtedy będziemy mówili o podzięce.

Proboszcz znowu się uśmiechnął, tym razem z odcieniem goryczy i nie odpowiadając na słowa pani Celiny, zapytał:

— Państwo zapewne będziecie na balu w Żurawce?

— Będziemy. A ksiądz proboszcz?

— Rad nie rad i ja być muszę.,. Rano pałac poświęcałem, trzeba więc zaglądnąć, choćby na godzinę.

— Jak to pięknie! Zabierzemy księdza proboszcza z sobą i nie puścimy do dnia białego!

— Jam ksiądz... przed północą będę w domu... Ale gdzie się podział gospodarz?

— Ach! na polowaniu, wiecznie na polowaniu! — zawołała młoda kobieta. — Zaiste, nie wiem, jakich już środków użyć, aby go przecie oderwać od tego zajęcia.

— Jabym sądził, że najlepiej żadnych nie używać.

Pani Celina spojrzała na mówiącego ze zdziwieniem.

— Takie twoje zdanie księże proboszczu?

— Takie, i o ile mi się zdaje, oparte na doświadczeniu. Każdy człowiek musi mieć jakąś przyjemność, jakąś rozrywkę, pani naprzykład śpiewasz, grasz i malujesz, a ponieważ jesteście państwo dosyć zamożni, i mąż nie potrzebuje dzień cały gospodarstwa doglądać, więc czemu koniecznie żądasz od niego, aby nie polował? Dziś chcesz go pani od tego odzwyczaić, a jutro, jeźlibyś cel swój osiągnęła, i mąż w domu ciągle siedząc nudzić się zaczął, może byś sama gorzko tego żałowała.

— Nie, nie! — żywo odparła — jeśliby się nudził w mojem towarzystwie, pewnie bym nie żałowała.

— A ja, który panią znam od dziecka, powtarzam ci raz jeszcze jak ojciec, nie chciej tego doświadczyć! Wszelka zarozumiałość jest niebezpieczną, bo nam nieprzyjaciół przysparza. Kobieta pod jakimkolwiek względem zarozumiała, może zniechęcić męża własnego. Lepiej więc przypuścić, że nie tylko w żony towarzystwie, lecz także i na polowaniu mąż może znaleźć przyjemność i rozrywkę.

Pani Celina nie odpowiedziała na te uwagi, chociaż nie przyznała by ją przekonały. Uważając proboszcza za najlepszego przyjaciela, nie chciała mu się sprzeciwić, lubo w głębi duszy była innego zdania. Jej ciągle się

zdawało, że po za nią, mąż nie powinien szukać żadnej rozrywki, i nie mogła pogodzić się z tą myślą, by kiedyś była zmuszoną w obec jego woli broń złożyć. To raczej on powinien był kapitulować.

Dzieci, zobaczywszy gościa, przybiegły z krzykiem do niego, a ucałowawszy mu ręce, wdrapały mu się na kolana. Czcigodny kapłan całował je i pieścił, dopóki same się nie znudziły. Wtedy zeskoczywszy pobiegły znowu do niani, żądając nowej zabawy. Ksiądz wziął książkę, którą gospodyni przed chwilą odłożyła, przerzucił kilka kartek, westchnął i położył ją na dawnem miejscu z wyrazem niezadowolenia.

— Ksiądz proboszcz nie jest zwolennikiem Wiktora Hugo? — zapytała pani domu.

— Przeciwnie, bardzo go nawet lubię, gdzie jest prawdziwie chrześcijańskim, ale nie wielbię go tam, gdzie on uwielbia kobiety upadłe. Jeżeli istoty wykolejone będziemy stawiali na piedestalu doskonałości, to pytam, co zostawimy dla szlachetnych?

— Przyznam się księże proboszczu, że ja cię nie rozumiem. Czyż religja sama nie mówi, że większa jest radość w niebie z jednego grzesznika nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, a Chrystus czyż nie poszedł za jedną owieczką zbłąkaną?

— Obrona przez panią prowadzona jest śmiała i zręczna, ale równocześnie sofistyczna... Bo czyż okoliczność, że nawrócenie się grzesznika, jest czynem Bogu miłym, upoważnia nas do apoteozowania grzeszników przez miłość ziemską nawróconych? W ostatnich zaś czasach, panowie Dumas i Hugo oczyszczają w ogniu miłości wszystkie grzesznice, z czego taki sens moralny wypływa: Choćbyś błądziła życie całe, jeżeli potem zakochasz się prawdziwie i wytrwasz w tej miłości, będziesz rozgrzeszona i oczyszczona. Taka pokuta, moja pani, mająca swoje źródło w miłości do osoby drugiej, a więc źródło samolubne, każda bowiem miłość jest mniej lub więcej samolubna — taka pokuta powtarzam, daleko odbiega od ewangelicznej, nie samolubnej, pełnionej li dla cnoty i Boga, jaką Chrystus nakazuje. I oto dla czego nie pochwalam tego najnowszego kierunku w piśmiennictwie europejskiem. Poezja, powieść, powinne podawać ludzkości wzniosłe obrazy, wzory godne naśladowania, powinne mieć treść podnoszącą naszego ducha i uszlachetniającą nasze serca, a rozgrzeszanie grzesznic tego celu nigdy nie osiągnie.

— Ksiądz mówisz jak asceta, zapominając, że z biegiem czasu zmieniają się poglądy na życie i sztukę. Któż temu winien, że romantyzm wprowadził zmiany, których klasycyzm nie znał, a temat, przeciw któremu ksiądz proboszcz tak surowo występujesz, jest właśnie dzieckiem romantyzmu, który wprost z życia bierze wzory.

— Nie przeczę temu, lecz to mnie jeszcze nie przekonywa o doskonałości kierunku romantycznego. Zechciej pani rozważyć, że klasycyzm istniał długie wieki i ludzkości wystarczał, nawet dziś jeszcze liczy nie mało zwolenników; przeciwnie romantyzm wyczerpał się w ciągu niespełna jednego stulecia, i dziś błąka się po bezdrożach, nie wiedząc co z sobą począć. Pochodzi to ztąd, że w prawdziwej sztuce, prócz siły powinien być także spokój, którego romantycy nie mają.

— Co się komu podoba! — odparła żywo pani Celina. Ja wolę ruch, życie, niż śmierć, która jest przecie najwyższym spokojem.

Proboszcz uśmiechnął się na te słowa.

— Pani bo zawsze w ostatecznościach!... Przecie od spokoju do śmierci droga jeszcze daleka. Bez spokoju zdaniem mojem nie ma rzeczy wzniosłych, a więc i poezji, spokój bowiem jest podstawą równowagi, bez której nie ma doskonałości. Dla czego świat jest takiem Stwórcy arcydziełem? Bo w nim najzupełniejsza panuje równowaga.

Z kobietami, które pragną popisywać się rozumem i uczonością, poważna dysputa jest prawie niemożliwą. Ilekroć przeciwnik wystąpi z argumentami poważnemi, one nie mogąc zwalczyć go równą siłą dowodów, a nie chcąc ustąpić, chwytają się pierwszego lepszego zwrotu lub słowa, aby bądź frazesem błyskotliwym uciąć rzecz całą, bądź zręcznem pokierowaniem zwrócić dyskusję całkiem w inną stronę, i tym sposobem wybawić się z położenia kłopotliwego. Tak samo postąpiła teraz pani Celina.

— Ksiądz proboszcz za daleko zaszedł — przemówiła — pragnąc aż doskonałości! Przecie w życiu jej nie ma...

— Prawda że jej nie ma, ale to jeszcze nie wyklucza możności dążenia do niej, jak do czegoś, co osiągnąć można. Zresztą nie ma jej w życiu, ale jest w sztuce, która właśnie na to istnieje, by nam pokazując doskonałość, do niej nas zbliżała... jeźli się zaś nie mylę, mówiliśmy poprzednio nie o życiu, lecz właśnie o sztuce.

Pani Celina była pobita, ale że jak według zwyczaju nie chciała przyznać się do porażki i z tej walki usiłowała wynieść choćby pozory zwycięztwa, więc wróciwszy znowu do przedmiotu na początku ich rozmowy poruszonego, zaczęła słowy pięknemi bronić takich bohaterek jak Dama kameljowa, Marion Delorme i jej podobnych. Ksiądz odpowiadał spokojnie, stojąc niezachwianie przy swoich zasadach. Powoli zeszła rozmowa na dzisiejsze stanowisko kobiety w społeczeństwie i na opinję powszechną. Gospodyni była znowu zdania, wyczytanego w romansopisarzach współczesnych, że kobieta nie powinna sobie nic robić z głosu świata. Proboszcz na to odpowiedział:

— Prawda, że opinja jest często bardzo niesprawiedliwą, ale mimo to nie należy jej wyzywać. Może to jeszcze uczynić mężczyzna, gdy tego uczciwość żąda od niego, lecz nigdy kobieta! Ona bezwarunkowo powinna poddać się jej wyrokowi.

— Jakto, nawet niesprawiedliwemu?

— Nawet niesprawiedliwemu, w tem przekonaniu, że prędzej lub później prawda musi odnieść zwycięztwo.

— Ksiądz proboszcz, jak widzę, radby z kobiet zrobić same baranki, które własnej woli nie mają! Ja do takiej doskonałości chyba już nie dojdę, bo do niej nawet dążyć nie będę. Cóż naprzykład powiedzieć o opinji, która nie raz najniesłuszniej potępia kobietę uczciwą? Czy warto zwracać na nią uwagę?

— Warto pani, choćby tylko dlatego, by jeszcze gorszych rzeczy uniknąć. Zresztą rzadko to się zdarza, by opinja potępiała kogoś całkiem niewinnie... w najlepszym razie musiały być przynajmniej pozory złego.

— Pozory! pozory! — zawołała żywo piękna kobieta — czyż to dowód! Pozory są niczem i zanadto musiały byśmy myśleć o ludziach, chcąc dla nich wystrzegać się nawet pozorów.

— A ja jestem zdania — odparł ksiądz z naciskiem — że kobieta pragnąca żyć szczęśliwie i zjednać sobie szacunek ogólny, do czego każda dążyć powinna, że taka kobieta musi wystrzegać się nawet pozorów, które często bardziej gubią, niżeli złe czyny.

Pojawienie się gospodarza z siatką krzykami napełnioną, i danserów, którzy spotkawszy pana Zapolskiego w tryumfie go przyprowadzili, położyło kres dalszej dyspucie. Pani Celina ujrzawszy męża z daleka, przeprosiła gościa i do domu odeszła.

Może chciała zacząć się ubierać, a może były to tylko dąsy...

VI.

Ks. Józef Kaczorski przyszedł na świat w małej leśniczówce, w której już przed nim urodziło się jego rodzicom pięcioro dzieci. Biedny leśniczy, mogąc ledwie wyżyć z liczną rodziną, nie marzył o wielkich naukach dla swoich synów. Jednego chciał wykierować na ekonoma, drugiego Józefa, na leśniczego, a że w owych czasach oficjalista prywatny, prócz nauki czytania i pisania, tudzież znajomości tabliczki Pytagoresa większych wiadomości nie potrzebował, przedewszystkiem bowiem żądano od niego pracy i uczciwości, więc p. Maciej ucząc synów sam czytać i pisać, wykładał im równocześnie zasady moralnego postępowania. Józef byłby przeto z pewnością został leśniczym, gdyby nie wypadek, który mimo jego woli wprowadził go na zupełnie inną drogę.

Właściciel wioski wysyłał do szkół swojego jedynaka, którego na panicza wychowywał, a że chciał, by jego syn od młodości najwcześniejszej wyróżniał się między innymi, więc postanowił mu dać do usług jakiego chłopca inteligentnego, aby paniczyk mógł się nim poszczycić. Oko dziedzica padło na Józefa, syna leśniczego. Zmartwił się ojciec, który swego chłopca nie chciał widzieć lokajem, spłakał się chłopiec usłyszawszy, co z niego chcą zrobić, ale ponieważ dziedzic należał do ludzi serca twardego i ponieważ cała egzystencja leśniczego od jego woli zawisła, przeto Józef rad nie rad musiał zrzucić swój kapelusz słomiany, w którym czuł się niepodległym, aby ubrać niewolniczą czapkę ze złotym galonem.

Rok cały był lokajem, pełniąc bez szemrania najprzykrzejsze posługi: ale chociaż panicz dręczył go na sposoby rozmaite, Józef był cichy i wieczorami, gdy panicz usnął, zapalał sobie łojówkę, którą kupował za grosze oszczędzone i do północy, czasem dłużej jeszcze, uczył się z książek panicza, do których tenże prawie nigdy nie zaglądał. Tak trwało cały rok. Nagle Józef gdzieś niknie i więcej się nie pojawia. Dziedzic bardzo się zgniewał i leśniczemu gorzkie z tego powodu robił wymówki, ale gdy pan Maciej zaklął się na szczęście reszty dzieci, że nie wie gdzie się Józef podział, udobruchał się przecie i o chłopcu zapomniał.

Leśniczy prawdę powiedział; w pierwszych trzech miesiącach ani przypuszczał, co się z jego synem stało; i dopiero po upływie tego czasu otrzymał list z miasta, który żonie pokazał, ale którego treść oboje w głębokiej zachowali tajemnicy. W każdem razie wiadomości w nim zawarte nie musiały być smutne, bo od tego dnia nigdy już za Józiem nie płakali.

Tak upłynęło lat kilkanaście.

Jakież było zdumienie dziedzica, jego syna i wsi całej gdy raz nad wieczorem przed leśniczówką zatrzymała się bryka dwukonna, z której wysiadł ks. Józef Kaczorski. Tak jest, ten sam Józek, który nie chciał czyścić butów kapryśnemu paniczowi, został kapłanem o własnych siłach. Usłyszawszy, że w mieście żyje pewien kanonik, który słynął ze szczodrobliwości dla biednych chłopców, udał się do niego, padł mu do nóg i opowiedział w jakiem znajduje się położeniu. Że jednak bał się, by go zacny kapłan nie odesłał tam, zkąd uciekł, więc w trwodze dopuścił się kłamstwa niewinnego; oto powiedział, że ojciec panicza oddalił go ze służby. Otwarta chłopca fizjognomja tak się kanonikowi podobała, że ten niezwłocznie zajął się jego losem; a gdy się przekonał, że Józef ma prawdziwe powołanie do stanu duchownego, umieścił go najpierw w tak zwanem małem seminarjum, potem w wielkiem i tym sposobem pucobut został księdzem.

Całe jego dalsze życie było jednem pasmem poświęcenia dla rodziny i bliźnich. Jako wikary od ust sobie odejmował, aby wspierać biedną rodzinę; później, gdy probostwo otrzymał, wyposażył dwie siostry, trzecią najstarszą, która za mąż nie wyszła, wziął do siebie; brata pomieścił w dobrach arcybiskupich i rodziców, którzy mu na rękach pomarli, sam pochował. Nie skończył na tych uczynkach. Dowiedziawszy się, że stryj jego, także biedny oficjalista, ma syna Szymona, który pragnie się uczyć, posłał go do szkół i tak długo go utrzymywał, dopóki brat stryjeczny nie stanął na własnych nogach.

Od tego czasu, o rodzinie mniej już myślał, ona bowiem nie potrzebowała więcej jego pomocy, za to tem

gorliwiej oddał się owczarni, którą biskup jego pieczy powierzył.

Parafia ks. Józefa Kaczorskiego należała do najmniejszych, i nie nazywała się nawet probostwem, lecz kapelanją, ponieważ jak to się często zdarza na Rusi galicyjskiej, liczba rzymskich katolików w tej okolicy była stosunkowo bardzo mała. Prócz właścicieli ziemskich, ich oficjalistów, i kilkudziesięciu rodzin mieszczańskich w pobliskiem miasteczku, we wsiach, które do kapelanji należały, można było „łacinników" na palcach policzyć. Co do Ormjan, ci jakkolwiek mają w Galicji kilka kościołów, w których księża odprawiają nabożeństwo w języku ormiańskim, nie tworzą nigdzie ciała odrębnego, lecz wszędzie łączą się z kościołami rzymsko katolickiemi. Dzięki tej okoliczności, Ormjanie bowiem słyną z bogactwa, ks. Kaczorski miał przynajmniej żyć z czego i w dodatku mógł jeszcze nie jeden dobry czyn spełnić.

Zastawszy w Grabowicach, w których mieszkał, kościół drewniany i do tego w stanie najgorszym, tak dalece, iż każdego dnia należało się spodziewać że się zawali, nie tracąc czasu wziął się natychmiast do dzieła i tak długo przemawiał z ambony, tak długo kwestował, dopóki nie stanął malutki kościółek murowany, w którym od pierwszej do ostatniej cegły wszystko było jego pracą stworzone. Gdy kościół skończono, stanęła potem obok niego także wieża murowana, a na niej trzy dzwony z których największy zwoływał połowę parafji, tak daleko jego głos sięgał.

(C. d. n.)

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

(C. d.) Począwszy od dnia tego, każdy z następnych był coraz smutniejszy. Juljanowi zamiast się polepszyć, jeszcze się pogorszyło. Wprawdzie wybuchy krwi stawały się z każdym dniem rzadsze, za to pojawiła się gorączka, która Juljana w oczach obecnych trawiła. Spadał z ciała, smętniał, gasnął.

Wandzia prawie nic nie jadła i nigdy nie spała, tak była zajęta staraniem około chorego, a siły jej nie opuściły. Owszem, im słabszym on się zdawał, tem silniejszą ona się okazywała. Przez dni czternaście na krok go nie odstąpiła.

Czternastego dnia wieczorem, chory i ona byli sami. Lekarze właśnie odeszli; Storch był jeszcze w sklepie, Wojciech udał się do apteki, a pan Wybicki znużony długiem czuwaniem drzymał w drugim pokoju. W sypialni było na pół ciemno, światło bowiem lampy, zieloną umbrą okrytej, rozlewało skąpy blask dokoła.

Chory, którego oblicze było już pargaminowe, patrzył na Wandzię, obok łóżka siedzącą.

— Przypominasz sobie Wandziu — rzekł — tę zeszłoroczną wyprawę na raki?

— Ach! pamiętam jakby to wczoraj było!... Wszak wtedy pierwszy raz rozmawialiśmy z sobą.

— Mam nadzieję — mówił Juljan znowu, — że to lato będziemy mogli na wsi spędzić... koniecznie musimy gdzieś wyjechać. Gdy to nastąpi, będziemy sobie przypominali zeszłoroczną naszą zabawę, nieprawdaż?

— O! tak, tak, byle z tobą! — szepnęła Wandzia za rękę go biorąc, na którą gorąca jej łza upadła.

Musiał tę łzę uczuć, bo rękę podniósł i łzę rozpalonemi spił ustami.

— Wandziu! — przemówił po chwili — czemu ty kiedy dłużej nie odpoczniesz? Wszak za dwa tygodnie nasz ślub, a jabym nie chciał by panna młoda była mizerna... Tyś powinna odpocząć, ty się zanadto męczysz.

— Nie, nie, mój drogi! ja nie jestem zmęczona.

— Jeżeli mnie kochasz, Wandziu, uczynisz to dla mnie, i dziś się położysz. Ja sam czuję, że tej nocy będę spał dobrze... sen mnie pokrzepi, i przekonasz się, że mi jutro znacznie będzie lepiej. O! ja jestem pewny, że dobrze zasnę! Idź więc Wandziu, idź! a na dobranoc pozwól się w czoło ucałować.

Pochyliła się nad nim, i on na jej czole bladem, złożył pierwszy, gorący pocałunek.

— A mnie nie pocałujesz? — zapytał.

Pocałowała go także w czoło.

— Dzięki ci moja droga! — szepnął. — Po tem czystym, siostrzanym pocałunku lepiej spać będę. Ale ty idź, połóż się!... Słyszę, że Wojciech wrócił... on i tak nie wiele sypia, bo już bardzo stary, więc będzie przy mnie czuwał. Zresztą mnie lepiej, znacznie lepiej, i jeżeli jutro będzie tak samo, to bardzo być może, że pojutrze wstanę. Dobranoc Wandziu, dobranoc!

Raz jeszcze w czoło ją pocałował, piękną jej głowę przycisnął do swojej piersi, znowu ją poprosił by i ona raz jeszcze pocałowała go na dobranoc, a potem odwrócił się do ściany chcąc usnąć. Wandzia widząc to, wyszła cichutko, na palcach do swego pokoju. Dopiero tu, gdy padła na kolana, łzy długo wstrzymywane rozlały się strumieniem i chwilowo ulgę jej przyniosły, poczem modlitwa głęboka, gorąca, wypłynęła z serca dziewiczego, a lecąc przed tron Tego, który na nią zsyłał takie ciężkie krzyże, zabierała z sobą jej łzy wszystkie, by za nią świadczyły.

O północy weszła cichutko do sypialni chorego, przy którym Wojciech czuwał jak żołnierz na czatach. Juljan spał; lekko jak motyl kwiatu, dotknęła się ustami jego włosów, poczem wróciła do swego pokoju. Położyła się aby odpocząć — usnąć nie mogła. Serce w piersi młotem uderzało, myśli chaotyczne, straszne, mózg jej szar-

pały. Usiadła na łóżku. Patrząc w przestrzeń ciemną, przypomniała sobie Bolcia biednego, który spiąc, jakby we śnie magnetycznym, przeczuwał wielkie katastrofy, i matkę, którą tak tragicznie straciła na obcej ziemi, i ten krzyż drugi, który na grobie brata zatknęła — i poznanie z Juljanem — i miłość ich późniejszą — i nieszczęście teraźniejsze! Czuła, że jemu źle, coraz gorzej, ale łudziła się jeszcze, jak łudzi się każdy, kto nie chce przypuścić by mógł go przygnieść ogrom takiego nieszczęścia. Łudziła się, ale tam w głębi, coś jej szeptało głosem bezlitośnym, złowrogim: Nie łudź się! Jego godzina wybiła!...

Kurczowo przycisnęła ręce do piersi, i palce dotknęły się owego amuletu, który przed laty sędziwy Alompra na szyi jej powiesił, a z którym do dziś dnia na chwilę się nie rozłączyła, i przypomniała sobie słowa, które on jej wtedy powiedział.

„Ten amulet nie oddali od ciebie nieszczęść, bo on nie jest Bogiem, lecz on ci pomoże w walce z losem wyjść zwycięzko!“

— Boże! — jęknęła Wandzia z głębi duszy, na posadzkę się zsuwając — Boże! jeżeli raz jeszcze i tak okropnie zechcesz mnie doświadczyć, użycz mi przynajmniej sił i odwagi, bym moim losom nie złorzeczyła!

W chwili gdy ta skarga wyrwała się z serca, które pękało pod naciskiem boleści bezmiernej, Juljan wydał tchnienie ostatnie...

XXVII.

O Wiliamie Ellington wszyscy zapomnieli. On tymczasem, chociaż się nie narzucał, chociaż do mieszkania chorego ani na chwilę nie zajrzał, wiedział codzień jak się ma narzeczony Wandzi i lubo w cichości z nią razem cierpiał. Sir Wiliam należał do tych istot rzadkich, nic a nic niesamolubnych, które kochając, przedewszystkiem o tem myślą, by osoba przez nich ukochana była zupełnie szczęśliwą. Dla tych ludzi nie ma ofiary, jakiejby nie ponieśli w zamiarze uszczęśliwienia istoty ukochanej. Wiliam, odkąd się dowiedział, że go Wandzia nie kocha, i odkąd mu instynkt powiedział, że ona go nigdy nie pokocha, zapomniał całkiem o sobie, aby tem łatwiej tylko o niej myśleć. Myślał też ciągle, a gdy się sposobność nadarzyła, jak umiał pracował nad jej szczęściem. Rozbiły się jednak jego nadzieje — ten, którego chciał ocalić, przeniósł się w lepszą krainę.

Na dzień przed pogrzebem Juljana, ostrożnie, aby go kto w sieniach lub na schodach nie spotkał, wszedł sir Wiliam do kamienicy, w której mieszkał nieboszczyk, a zatrzymawszy się w ciemnym rogu sieni, spojrzał przez drzwi otwarte do pokoju śmiertelnego.

Na wysokim katafalku leżał młodzieniec w kwiecie wieku; w jego głowach stary Wojciech pacierze odmawiał — naprzeciwko siedział pan Wybicki, przyciskając do piersi głowę Wandzi, która już dawno płakać przestała. Ojciec wyglądał teraz jak starzec stuletni — córka jak posąg boleści. Szczęśliwy, kto jeszcze płakać może — ale biada temu, w czyjem oku, w skutek boleści nadmiaru, wyschnie łez źródło!...

Sir Wiliam przypomniał sobie, że obraz podobny widział przed laty nad brzegami Gangesu, gdy wróciwszy z polowania, zastał żonę pana Wybickiego na katafalku, a Wandzię płaczącą na piersiach sędziwego księdza Marketta. Chwilę patrzył na ten obraz bolesny, a potem łzę otarł, westchnął, raz jeszcze spojrzał na Wandzię, na zmarłego i wyszedł na ulicę.

Poczciwy Anglik tak był wzruszony, że zamiast jak według zwyczaju wziąć dorożkę i do domu wrócić, szedł pieszo, krok za krokiem, nie wiedząc gdzie i po co, aby trochę myśli rozerwać i wrócić do równowagi. Minął ulicę Stryjską, znalazł się obok stawu Pełczyńskich, a minąwszy kościół Marji Magdaleny wszedł na drogę szeroką, prowadzącą tędy przez Nowy Świat do głównej stacji drogi żelaznej. Nieopodal ulicy Grodeckiej, w miejscu gdzie dziś stoi cały szereg kamieniczek jednopiętrowych, widać wtedy było dużą budę z desek naprędce wystawioną, na której wiecha i różne napisy zapraszały przechodniów na kieliszek wódeczki, szklankę piwa, wina lub miodu. Była to szynkownia czysto kolejowa, w której zbierali się wieczorami robotnicy. W chwili, gdy Anglik zbliżył się do tej budy, doleciały go z wnętrza wesołe krzyki i spiewy. W nastroju, w jakim się znajdował, każde myśli rozerwanie miało wartość dla niego; nie namyślając się więc długo, wszedł do szynkowni, a usiadłszy przy pierwszym stoliku, przy którym próżne miejsce zobaczył, kazał sobie przynieść pół butelki wina białego. Z obecnych nikt go nie poznał, zgromadzeni tu bowiem robotnicy pracowali nie przy kolei Czerniowieckiej, lecz Karola Ludwika.

W budzie dymem i różnemi wyziewami napełnionej, były zebrane prawie wszystkie narodowości, z których się Austrja składa. Obok języka polskiego, słychać było niemiecki, czeski, kroacki i włoski. Ten ostatni był najgłośniejszy, raz że tego wieczora zeszło się tu jakby umyślnie bardzo wielu włoskich kamieniarzy, powtóre, że Włosi pijąc lubią krzyczeć. Tuż obok sir Wiliama siedziało ich pięciu przy stoliku okrągłym, i taka między nimi rozmowa się toczyła.

— *Che diavolo* z takim krajem! — jeden zawołał. — Jak fundamenta przyjdzie zakładać, to jeszcześ jednej stopy ziemi nie wyrzucił, a już ci się woda pokazuje.

— Gdyby choć wino! — śmiejąc się drugi zauważył.

— Wino! wino! — odparł pierwszy. — Przecie tu nie Asti! Woda jest więc wszędzie, a potem skarżą się, że nasze budowy nie są trwałe. Niech nam dadzą taką ziemię jak u nas, a zobaczą jakie im mury stawiać będziemy.

— U nas! — odezwał się głos nowy. — U nas co innego! *Italia! per carita!* to mi kraj!

— A jednak chociaż tu tyle wody — przemówił głos czwarty, ochrypły — jeźli gdzie jeszcze, to tu można zrobić pieniądze.

— *Davvero Beppo?* — zapytali równocześnie wszyscy towarzysze, nachylając głowy ku mówiącemu.

— Pewnie że można — potwierdził mówiący — lecz aby je robić, trzeba być koniecznie Niemcem lub żydem.

— *Maledetti Tedeschi!* — mruknął najmłodszy, który jako mieszkaniec Wenecji wzdychał jeszcze wtedy do Italji zjednoczonej.

— I jakże oni robią pieniądze, signor Beppo? — zapytał najstarszy.

Ten, któremu Beppo było na imię, zrobił ręką ruch wieleznaczący i rzekł:

— Oszukują! Rozbijają!

— Doprawdy?

Sir Wiliam, który aż do tej chwili był słuchaczem obojętnym, spojrzał bokiem na siedzących i słuch wytężył. Nie byli to sami robotnicy. Czterej mieli bluzki manszestrowe, używane dość powszechnie przez włoskich kamieniarzy, ale piąty między nimi, właśnie signor Beppo, z ubioru i z kapelusza na głowie, był zupełnie podobny do mieszkańców Lwowa z niższych warstw społeczeństwa. To spostrzeżenie bardziej jeszcze zaostrzyło ciekawość Anglika. Nie chcąc jednak ich spłoszyć, zrobił minę najobojętniejszą w świecie, jakby to, co się dokoła działo, wcale go nie obchodziło.

— Ale jak oszukują! Nie dawno naprzykład był taki wypadek. W mieście żył pewien szlachcic, *un riccone*, jakich mało... mówią że miał najmniej pół miljona lirów — otóż jego adwokat i lekarz zmówili się, sfalszowali testament, i chociaż szlachcic miał krewnego, cały majątek po nim zagarnęli. Teraz są panami... *djavolo che signori!*

— Beppo! — szepnął jeden ze słuchaczów — czy to tylko nie twój doktor, który cię tu przywiózł z Werony, obszedł się tak łaskawie ze swoim pacjentem? Przecie mówiłeś nam że on żyd.

— *Zitto! zitto!* — mruknął signor Beppo Villani, gdyż on to był w swojej osobie. Odtąd rozmowa przemieniła się w ciche szepty, których Anglik nie mógł dosłyszeć.

Sir Wiliam nie pragnął więcej. To co słyszał, zupełnie mu wystarczało. Nieroztropność Włocha, któremu druga z rzędu butelka wina węgierskiego, przypadkiem język rozwiązała, była dlań dowodem dostatecznym. Teraz należało działać.

Nie spojrzawszy nawet na Włochów, by ich uwagi na siebie nie zwrócić, powstał, zbliżył się do właściciela szynkowni, którym był żyd bardzo pokorny, i wszystkich panów inżynierów niesłychanie poważający, a pokazawszy mu nieznacznie Villaniego, rzekł:

— Jak ja wyjdę, powiesz temu Włochowi, że ktoś chce się z nim widzieć i czeka na dworze.

Żyd na znak potwierdzenia do stóp się ukłonił. Sir Wiliam wyszedł.

Nie upłynęło kilka minut, a na dworze pojawił się signor Beppo Villani, rozglądając się w ciemnościach. Inżynier chwycił go za rękę.

— Chodź ze mną! — przemówił tonem rozkazującym.

Włoch czując nie palce, lecz kleszcze żelazne, zrozumiał że mu coś złego grozi; chciał się więc wyrwać.

— Jeżeli nie pójdziesz spokojnie, kula w łeb!

Mimo ciemności, signor Beppo poznał rewolwer, który złowrogo błysnął mu przed oczyma, poczem zimna lufka, oparła się o jego kark obrośnięty.

— *Santissima Madonna!* — jęknął — jam biedak, biedaczysko, *poveraccio!*

Signor Villani przypomniawszy sobie malfattorów w swojej ojczyźnie, był najpewniejszy, że ma do czynienia z jakimś opryszkiem, polującym na jego sakiewkę. Na szczęście inżyniera, od ulicy Grodeckiej nadjechał powóz z jasnemi latarniami. Włoch dostrzegł w ich świetle twarz swojego prześladowcy. Była to fizjognomja nieugięta, stanowcza, ale zarazem tak szlachetna, że signor Villani od razu błąd swój zrozumiał.

— Przepraszam eccellenza! — zaczął bełkotać — ale w pierwszej chwili nie wiedziałem jak sądzić . Niech mnie eccellenza tak nie ciśnie... ja już pójdę, pójdę!

I automatycznie, z duszą na ramieniu, szedł obok Anglika, który drogą najbliższą dążył do domu.

Kamienica, w której mieszkał, stała przy końcu ulicy Grodeckiej, prawie naprzeciwko głównego dworca kolei żelaznej; w niej zajmował dwa niewielkie pokoiki z przedpokojem. Cała służba sir Wiliama składała się z Jaśka, chłopaka sprytnego, urodzonego gdzieś pod Bochnią, który żadnym językiem nie mówił, chociaż wszystkie rozumiał. Usługując od lat kilku panom inżynierom, z którymi coraz dalej się przenosił, w miarę jak budowa kolei postępowała, nauczył się kilkadziesiąt wyrazów niemieckich, tyleż angielskich, i tym sposobem stworzył sobie język odrębny, lecz nie mniej skończony, przy którego pomocy byłby z pewnością świat cały dokoła

objechał. Gdy język nie wystarczał, dokładał sprytem wrodzonym, który u niego był niepospolity — a że obok tych zalet był także uczciwości nieskazitelnej, i do każdego ze swych panów jak pies się przywiązywał, więc kochali go panowie i hojnie wynagradzali.

Sir Wiliam ciągnąc Włocha prawie przemocą, wszedł do przedpokoju, a kazawszy Jaśkowi na klucz drzwi zamknąć, zawołał:

— Podaj kawałek sznura!

Jasiek aż podskoczył z radości. Od razu się domyślił, że nastąpi jakaś przyjemna operacja. Włoch tymczasem trząsł się jak w febrze. Gdy Jasiek sznur przyniósł, sir Wiliam skrępował nim Villaniemu ręce na grzbiecie, koniec sznura do łóżka przywiązał, a potem dał Jaśkowi rewolwer z temi słowy:

— Strzeż tego rozbójnika, żeby nam nie uciekł. Jak zechce, niech spi, ale ty czuwaj nad jego bezpieczeństwem, bo jutro rano muszę go żywego do sądu odstawić.

Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie tylko był zadowolony z takiej awantury niezwykłej; on nierównie więcej czuł się uszczęśliwiony zaufaniem jakiem go pan obdarzał. To też gdy sir Wiliam poszedł do pokoju, gdzie w ubraniu na łóżko się rzucił, Jasiek trącając więźnia, który ze strachu słowa nie przemówił, rzekł:

— Połóż się ty ścierwo złodziejskie na ziemi, i leż cicho, bo jak mi się ruszysz, palnę cię w same ucho.

Włoch nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć. Nauczył się już tyle po polsku, że Jaśka zupełnie zrozumiał, a że chłopiec był energicznym, o tem także nie wątpił. Rad więc nie rad położył się obok łóżka. Jasiek tymczasem skręcił sobie papierosa, którego palił z fantazją, ku powale kłęby dymu puszczając, a ilekroć na podłodze szmer usłyszał, mierzył Villaniemu prosto w ucho.

XXVIII.

O tej samej godzinie Wojciech klęcząc przy swoim kuferku, szukał starej książki do nabożeństwa, w której miał obrazek, poświęcany w Częstochowie. Przywiózł mu go pan Juljan, w roku ubiegłym. Nie mogąc więcej, chciał swemu paniczowi przynajmniej ten obrazek wetknąć w zimne dłonie, a ponieważ pogrzeb miał się odbyć nazajutrz o godzinie 10tej, więc biedny Wojciech szukał obrazka w nocy, bojąc się by rano nie było za późno. Powyrzucał wszystkie rzeczy, książki nie było. Znalazł ją dopiero na samym spodzie, leżącą obok chustki kraciastej. Wyjął obrazek, i już chciał rzeczy nazad powkładać, gdy palce jego dotknęły się owej chustki. Zatrzymał się, jakby sobie co przypomniał — potem ruchem gwałtownym wyjął chustkę z kuferka. Rozwinął ją rękami drżącemi — z niej wypadł biały papier opieczętowany, ten sam, który ś. p. pan Czarkowski wręczył mu, mówiąc:

— Jeżeli umrę, to po mojej śmierci weźmiesz ten papier i do sądu zaniesiesz!

Tak mu jego pan nakazywał, a on zapomniał! Wojciech nie wiedział co papier zawierał, bo choćby był nawet umiał czytać pisane, a dokument nie był zapieczętowany, nie byłby się ośmielił czytać rzeczy, które za relikwje uważał; lecz z tem wszystkiem nie trudno mu było przypuścić, że musiało być coś bardzo ważnego, skoro nieboszczyk powierzył mu to w takiem zaufaniu.

Pochwyciwszy papier w drżące dłonie, zaczął go ściskać i całować, potem podniósł się z ziemi, chcąc natychmiast pospieszyć do sądu. Przypomniał sobie jednak, że sąd w nocy zamknięty, i rad nie rad będzie musiał czekać do rana. Przeczekał też jak mógł najspokojniej, a gdy szarzeć zaczęło, udał się natychmiast przez plac Marjacki do gmachu Sądu karnego, z kąd odźwierny, wysłuchawszy, w jakiej sprawie przyszedł, odesłał go do sądu dla spraw cywilnych, znajdującego obok kościoła OO. Jezuitów. Niezadowolony poszedł do miejsca wskazanego, i tam czekał do pół do dziewiątej, gdyż dopiero o tej godzinie pojawił się pierwszy radca. Ten przeczytawszy dokument, a był to w rzeczy samej najformalniejszy testament śp. Konstantego Czarkowskiego, i usłyszawszy od Wojciecha kiedy i wśród jakich okoliczności dostał go od swego pana, przejrzał natychmiast prawdę, od samego bowiem początku należał on w mieście do tych nielicznych, którym sukcesja Czudka i Ragnera nie mogła się w głowie pomieścić. W poczuciu obowiązku, wziął Wojciecha, wsiadł do dorożki i kazał się zawieść do Sądu karnego.

Na pół godziny przed nimi, naprzeciw drzwi wchodowych tegoż Sądu, zatrzymała się dwukonna remiza, z której wysiadł pierwszy sir Wiliam, za nim signor Beppo Villani z rękoma na plecach, a dopiero ostatni Jasiek, który dla pewności trzymał koniec sznura, krępującego ręce Włochowi. Wielkie było zdumienie przechodniów i nie mniejsze straży sądowej we drzwiach i na korytarzach stojącej, gdy ta trójka weszła do środka, a jej przewódzca zapytał o sędziego śledczego. Jeden ze starszych woźnych, domyślając się zbrodni, wprowadził Anglika do biura sędziego. Tu słowami ile możności krótkiemi, opowiedział sir Wiliam sprawę, z którą przyszedł, powtarzając dosłownie rozmowę Villaniego w szynkowni. Sędzia spisał protokoł, poczem zaczął badać Włocha. Ten jednak stanowczo wszystkiemu przeczył. Wtedy sędzia wziął sir Ellingtona pod ramię i do okna poprowadził.

— Pańskie poszlaki — rzekł — są bardzo

ważne, lecz niestety dowodu one nie stanowią. Jeżeli ten łotr zechce dalej przeczyć, nic nie zrobimy. Na każdy wypadek zatrzymam go w więzieniu śledczem, chociaż z góry panu zapowiadam, że jeżeli nie uda się więcej zebrać, cel nie zostanie osiągnięty.

Zaledwie sędzia tych słów domówił, we drzwiach pojawił się radca sądu cywilnego z Wojciechem. W dziesięć minut wszystko się wyjaśniło. Testament pana Czarkowskiego był długi, i bardzo stanowczy. Główna zaś myśl jego da się streścić w kilku słowach: „Ponieważ zdaje mi się, że mnie otaczają ludzie niebezpieczni, przeto już dziś, jakkolwiek prawie całkiem zdrów jestem, robię testament, zapisując wszystko co posiadam, memu najdroższemu siostrzeńcowi, Juljanowi Rossowskiemu. Testament niniejszy jest jedyny i ostatni, a jeżelibym kiedy, czego się jednak nie spodziewam, inny napisał, w każdym wypadku, nie omieszkam w tym drugim wspomnieć o niniejszym.“

Zestawiwszy wszystko, sędzia śledczy przyszedł do przekonania, że Czudek i Ragner istotnie testament podrobili Spisawszy jeszcze protokół z Wojciechem, i odebrawszy przysięgę tak od niego, jak od sir Wiliama, pożegnał obu, Włocha kazał odprowadzić do więzienia, a sam napisał coś do dyrekcji policji, i wysłał z tem starszego woźnego.

Sir Wiliam i Wojciech poszli na pogrzeb.

O godzinie 10tej wyruszył kondukt żałobny. Czarnemi kapami konie przykryte, wiozły trumnę czarną, ze srebrnemi galonami, na której spoczywał wieniec z żywych kwiatów. Za trumną szła w grubej żałobie Wandzia, niema, blada, w boleści cała zatopiona i bezwładnie postępująca obok Storcha, który ją prowadził. Za nimi szedł pan Wybicki podtrzymywany przez Wiliama, a piątym i ostatnim w orszaku pogrzebowym był Wojciech. Ciche było życie Juljana i cicha śmierć jego.

Kondukt przechodził po przed kamienicę, w której mieszkał dr. Czudek. Adwokat stał właśnie w bramie, i okiem, w którem malowało się zadowolenie szatańskie, mierzył orszak żałobny. On dopiero teraz był spokojny! Ten, którego najbardziej się obawiał, nie żył więcej, a ta, która go odtrąciła, miała serce złamane. O! jakże szczęśliwym był teraz dr. Czudek!

Wandzia, która szła zapatrzona w trumnę, ukrywającą zwłoki najdroższe, jakby czemś tknięta oczy odwróciła. Jej spojrzenie bolesne, pełne głuchej skargi i niemego wyrzutu, zbiegło się ze spojrzeniem Czudka. Adwokat pod wpływem tego wzroku cofnął się przerażony, a w tejże chwili stanął przed nim komisarz policji, w towarzystwie dwóch ajentów i rzekł poważnie:

— W imię prawa aresztuję pana! (D. n.)

DRUHY.

NAPISAŁ BOHDAN.

(C. d.) Jakiś młody, smutny chłopiec siadł na stronie, zapatrzył się w ognisko, zadumał i zaspiewał:

— „Oj za sełom pry dołyni
Czerwona kałyna,
Oj za sełom na mohyli
Mołoda diwczyna.
Zełenije kałynońka
Biło proćwitaje,
Oj z dorohy czumaczeńka
Diwczyna diżdaje!“

— Ji! — zawołał drwiąco drugi, w czapce zuchwale zsuniętej na tył głowy — wse po głowie diwczyna ta kałyna, kałyna ta diwczyna! — poklepał go po ramieniu.

— „Ide młodyj z Czumakamy
Woły pohaniaje,
A dumoju jak toj hołub
Do myłoj litaje!...

— A tyś tam dziewczyny nie zostawił gdzie Harasyme? — zapytał ktoś ze starszych.

Czumak stanął szeroko, rozparł się, czapkę jeszcze więcej na tył zsunął.

— Ja? diwczynę? a na cóż mnie ona? chyba żeby tak błudnom chodzić po świecie jak toj! — skinął głową na młodego.

Siedzący przed karczmą człowiek, który dotąd z daleka patrzał i słuchał, zbliżył się teraz.

— A co ty w czerńce pójdziesz?

Czumak się roześmiał.

— Ha, ha! banduryste czy kobzare, ja na czerńca nie zdał się!

— A cóż ty?

Harasym odpowiedział spiewem:

— „Ja z mołodu czumakuju
Wołociucha burłakuju,
Odrużu sia z wichrom w polu
Prohulaju z nym wsiu dolu“...

Ognisko buchnęło i oświeciło dziką twarz Czumaka... Kobzarz patrzył na niego.

— Szkoda...

— Czego szkoda brate? — spytano do koła.

— Co niema Siczy... On na Zaporożca się zdałby...

Jedno słowo „Sicz“ zelektryzowało cały tabór... Czumacy wieńcem go otoczyli, starzy gwarzyć przestali, młodzi pytali:

— Sicz? to ty wiesz co o Siczy?...

On potrząsł głową.

— Niedawno jeszcze każdy wiedział o niej...

— Jaka to ona była?

— Ja to coś o tej Siczy słyszał — gdzieś to ona gnieździła się w wełykim łuhu, za Dniprem — ozwał się któryś ze starszych.

— Mój dido to pamiętał jeszcze Zaporoże, bywało opowiadał co moc jego była wielka! — dodał drugi.

— Gdzie wola, tam i siła — rzekł kobzar.

Głucha cisza panowała chwilę nad taborem.

— Skazaweś prawdu — rzekł ktoś z boku — choćby człowiek najmocniejszy, a związać jemu ręce, to co on zrobi...

— Pono to tak, prawda, prawda! — przywtórzono do koła.

Kobzar chwilę milczał — potem mówił z wolna.

— Tak i z nami, była swoboda, była Sicz... bo bratci, wola a Sicz, to jedno!... buwało zaciężył komu pan, król... znudziła się komu służba, wsiaka niewola, chciał poznać swobodę — szedł na Sicz! Tam ją zobaczył, tam to ona rodziła się, tam wyrastała, hulała z kozakami po stepach po morzu, a jak zahulała, to Turczyn trząsł się w Carohorodzie. Moskal sadzał na tronie kogo chcieli kozacy, a Szwed, co za morzem, kłaniał się Siczy w nogi!

Taka to była, ta wola nasza!... Kłaniał jej się nie jeden, nie dwóch, a ona sobie bez króla, bez pana, nikomu!... jednemu tylko...

— Któremu? — spytał Harasym.

On zdjął czapkę z głowy i czoło podniósł w górę.

— Temu co na niebie! — odparł.

Czumacy poodkrywali głowy — on ciągnął dalej:

— Teraz już nie to co bywało! niema woli, niema mocy; wróg gospodarzy jak sam chce w chatach naszych, a my patrzymy się na to. Przeklinamy ich, siebie, świat cały, ta co z tego? My klniemy, a oni swoje ta swoje!.. Już nie długo nie poznasz Ukrainy, stepy, to cała krasa nasza! wróg orze je, żytem sieje, każe „chleba będzie więcej.“ Wonoj prawda! więcej będzie, tylko nie dla nas z naszej ziemi. My narodem... gorzej i gorzej! Zarobisz, to jeszcze, nie zarobisz, po pomoc nie pójdziesz do pana.

Czumacy kiwali głowami...

— Zarobek, — rzekł jeden zapalając lulkę u ogniska — żeby to choć był, a teraz jaki to on, ten zarobek? wse maszyny, ta maszyny... maszyna orze, maszyna kosi, a o ludzki zarobek nikt nie pyta...

— Durny — ozwał się Harasym — to ty chcesz, coby nasze grafy kłopotały się, co ty jeść będziesz, i dzieci twoje, i żinka! a na co ty teraz zdawsia?! teraz baczy Semene: sto narodu nie stoi jednej maszyny!...

Słowa te dwojakie wywarły na tabór wrażenie, młodzi się roześmieli, starzy posmutnieli.

— W kraju nie zarobisz — ciągnął ten, którego zwali Semenem — u kogo syn jeden, ze dwóch, to choć na Don poślesz na robotki.

Kobzar smutnie się uśmiechnął:

— Ta żeby choć te syny... ta i tych nie mnoho! dał ci Bóg, chodujesz, chodujesz. dumasz, na starość on zapracuje na ciebie, wzrośnie, już dochował się pomocy... nieobejrzysz się, a zobaczysz w sołdatach!..

— Oj, oj, rekruty, to gorsze wszystkiego! — westchnął ktoś ze starych.

— Chyba ty batku masz tam kogo?...

— Dwóch synów — starszy trzy lata jak poszedł, drugi teraz niedawno, trzeci mały w domu...

— Ot, jak gospodarują wrogi, wzięli ziemię, biorą nas, jeszcze i tej sławie naszej starej nie dają pokoju.

— Sławie? — przeciągle spytał Harasym.

— To ty nie baczył chłopcze, jak rozkopują mogiły?

— Nie raz i nie dwa.

— Otóż mogiły, to sława nasza Harasyme... a któż to je sypał? Siczowce — kto w nich leży? Siczowce... Była Sicz, umarła — była wola, minęła — mogiły były i ostałyś... Pamiętaj brate, hlanesz na mohyły, zkiń szapku — bo to wełykoje kładowiszcze naszej sławy!

— Prawda, że rozkopują — rozkopuje Lach, rozkopuje Moskal — ta czegóż to oni tam szukają? — Zapytał młody rozciągnięty przed ogniskiem czumak.

Semen wyjął lulkę z ust i odparł:

— Baczysz Iwane, Lachy kopią, szukają czegoś — co każą do nauki im potrzebne...

— Do nauki, czegóż to?

— Czort że ich zna! — odparł Semen.

Kobzar gorzko się uśmiechnął.

Dokopiąż się do kozackich kości...

— Nauka, nauka... lasze bresznie, żeby naród stumanić — rzekł prowadzący wałkę — a czego oni szukają, to ja wiem.

— Wiesz! to powiedz! — zawołał Harasym.

— A tobie zaraz „powiedz“ — uśmiechnął się stary, pociągnął z lulki i zaczął:

— Baczyte, słyszał ja od starych ludzi, że Hetman Chmielnicki, kiedy oddawał Ukrainę Moskalom, to wszystkie skarby Zaporoża, a było ich jak każut, nie mało, bo kozacy na wojnach złoto i srebro brali, otóż ten skarb Chmielnicki w ziemię zakopał, gdzie? tego nikt nie wie! Pogrzebał skarby, ta co gorsze, z niemi razem pogrzebał wolę naszą! Jak ona pod ziemię się schowała, tak widzicie co się stało! Kozaczyzna upadła, nad nami wróg, Ukraina marnieje coraz gorzej i gorzej... i tak będzie, dopóki naród skarbu nie znajdzie, bo z nim i moc, i wola!... Tylko szczęście, co on w kraju się został, co jego Chmielnicki za morze nie wywiózł, Moskalowi nie oddał... Oj, jakby on Moskalowi do rąk się dostał, wtenczas na wieki zginęłaby Ukraina! a tak choć wiemy, co u nas schowany. Otóż o tym skarbie wiedzą wrogi — wie Moskal, wiedzą Lachy — tak jak my, wiedzą także, że jakby naród dobrał się do niego, toby od jednego razu wolna i sławna wstała Ukraina! Tego to oni szukają... ten sobie, ten sobie. .

Czumacy dumali — nad ognisko spuścił się w tej chwili ideał chłopa ukraińskiego, jawiący się każdemu w różnej, wedle indywidualnego pojęcia postaci przed oczy, a mieszczący się w jednem słowie „swoboda“. Milczeli, nie jeden westchnął, nie jednemu błysnęło oko...

— Ej! żeby tak naród wiedział — rzucił ktoś z boku.

— A dokopał się!

Harasym drążkiem od mazi jak spisą okręcił nad głową.

— Tody już na mnie żupan sineńki, czapka barania z kołpakiem krasnym, a przy boku szabla, a podemną worony!

Kobzar spojrzał po czumakach.

— Wiecież wy gdzie ten skarb? i moc i wola nasza? — rzekł z wolna — w nas! w nas! w naszych rękach i piersiach! Czy my już nie ci sami co byli? My nie tacy kozacy ciałem i duszą jak ojce nasi? Ci sami bratci! ci sami, i naród ten sam i pieśni te same, jeszcze nam

Dnipre szumi po porohach i konie nasze rżą po stepach. A stepy! stepy nasze, orane, krajane, wyglądają, czekają, rychło je ich syny krwią wrażą poleją aby zakwitły, zarumieniały na nowo! Przestał mówić, a wziął teorban do ręki — struny mu pod palcami zajękły, aż zaspiewał na tęskną nutę...

Bjut porohy, misiac schodyt,
Jak i persze schodyw,
Nema Siczy, propaw i toj
Szczo wsim werchowodyw...
Nema Siczy! oczerety
U Dnipra pytajut
De to nasze dity diłyś,
De wony hulajut!?
Czajka skihłyt litajuczy,
Mow za ditmi płacze,
Sonce mlije, witer wije,
Po stepu kozaczym...

Naraz urwał, spostrzegł, że uwaga słuchaczy zwrócona była nie na jego słowa. Czumacy od pewnego czasu trącali się łokciami, i oczy ich skierowane były w jeden punkt za jego plecami. Obejrzał się. Za nim stała kobieta.

Kobieta, czy dziecko? tego określić nie było można. Mogła mieć lat dwadzieścia wyglądała na piętnaście, nie wielka, drobna, szczupła, twarz jej prędzej brzydka niżeli ładna, rysów delikatnych, niemal dziecięcych, ożywiona wielkiemi oczami, mieniła się dziwnie, pod przesuwającym się po niej niepewnym blaskiem ogniska. Czarna aksamitna amazonka nie zebrana, ciągnęła się za nią długo, a kapelusz męzki na rozrzuconych ciemno kasztanowatych włosach, zsunięty wtył, odkrywał czoło młode, inteligentne, ręce obie z kozackim nahajem opuściła, głowę podniosła i słuchała... Nieco w tyle stał młody brunet w akademickim mundurze, a dalej kozak w dworskiej barwie trzymał trzy, jeden w damskie siodło, a dwa po kozacku osiodłane konie. (D. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Straszny dramat. Świeżo przed sądem przysięgłych we Wrocławiu odbyła się rozprawa, której przedmiot stanowiła tragiczna katastrofa, zaszła tamże w nocy z 28 na 29 marca r. b.

Rano dnia tegoż na pewnem poddaszu znaleziono czeladnika stolarskiego, Józefa Sigla, wraz z trojgiem dzieci, uduszonych czadem węglowym. Trzej synowie liczyli lat ośm, dziewięć i trzynaście.

Usiłowaniom lekarzy powiodło się przywołać do życia Sigla i najstarszego synka.

Pod zarzutem morderstwa stoi ojciec, złamany cierpieniem, istny obraz nędzy.

Głosem, łzami obrzmiałym, składa on takie zeznanie:

W r. 1866, gdym powrócił z wojny, uczułem, iż zaczyna mi schnąć mlecz pacierzowy. Żona moja także przez lat pięć cierpiała, gdy zaś w roku 1878 umarła, musiałem zastawić resztę, co miałem w domu.

Nie mogłem już zarabiać — w zimie musiałem nawet zastawić moje narzędzia, tymczasem gospodarz domu wyrzucał mię za niepłacone komorne.

D. 27. marca miałem się z trojgiem dzieci znaleźć na bruku. Na gorące me prożby pozwolono mi jeszcze jedną noc przespać w mej izdebce; za ostatni grosz kupiłem więc trochę pokarmu dla dzieci — sam nic nie jadłem.

Oświadczyłem dzieciom, że muszę odebrać sobie życie. Błagały, abym ich nie zostawiał samych, ale przeniósł je wraz z sobą w świat drugi.

Zapaliłem ogień wpierw, wyjąłem następnie spalone węgle, położyłem je na tacy i przesypałem surowemi węglami.

Poczem ułożyłem się do snu wraz z dziećmi.

Co dalej się stało, nic nie wiem, obudziłem się dopiero w szpitalu...

Trzynastoletni, blady i wycieńczony nędzą, synek Sigla, Franciszek, zeznaje toż samo, a wejrzenie jego i opowiadanie wzruszają do głębi serca słuchaczy.

— Ojciec zapytał nas — mówi — czy chcemy z nim pójść do mamy. Powiedzieliśmy tak. Poczem ojciec poszedł do sąsiadki, aby przynieść nieco węgla; my położyliśmy się i zasnęli. W nocy przebudziliśmy się, cała izba była pełną dymu; zasnąłem jednak znowu i obudziłem się dopiero w szpitalu.

Prezes sądu zapytuje go: Co rozumieliście pod temi słowy pójść do mamy?

Chłopiec (płacząc i jąkając się): Umrzeć.

Prezes: I dlaczegoż chcieliście umrzeć?

Chłopiec: Ojciec był chory od lat wielu i nie mógł zarabiać. Nie mieliśmy co jeść — byliśmy zawsze głodni. Kazano nam opuścić mieszkanie, a nie mieliśmy nowego. Tego wieczoru ojciec kupił jeszcze od sąsiadki trochę chleba i dał nam. Gdyśmy się obudzili w nocy, zapytał nas powtórnie, czy chcemy umrzeć? Odpowiedzieliśmy, tak.

Rzeczoznawcy skonstatowali, że śmierć dwóch synów Sigla nastąpiła w skutek przedsięwziętego przezeń kroku, dodając, iż cierpi on mocno na nerwy.

Po półgodzinnej naradzie sędziowie przysięgli potwierdzają istotę czynu, ale zaprzeczają poczytalności Sigla.

Prezydent sądu uwalnia więc oskarżonego.

Książę Bismark. Żelazny kanclerz jest niewyczerpanym, jak wiadomo dowcipnisiem.

To też i z czasu wizyty jego wiedeńskiej powtarzają niejedno wesołe *bon-mot* żelaznego księcia.

Słysząc, że Gambetta przyjął dyplom honorowego doktora od uniwersytetu ateńskiego, dziwił się, że francuski mąż stanu, który jest już honorowym doktorem wszechnicy paryskiej, nie pogardził tym podejrzanym zaszczytem.

— Wydaje mi się to tak — rzekł ks. Bismark — jak gdyby jeźdzca zsadzono z konia a umieszczono na ośle.

Do węgierskiego prezesa ministrów, pana Tiszy, rzekł, że „nasz dzisiejszy zjazd jest kongresem w miniaturze, *un congres á deux*. który zapewnie niemniej przyczyni się do zutrzymania pokoju w Europie, jak niegdyś wielki kongres wiedeński“.

Na zapytanie o zdrowie pewna dama ze świata dyplomatycznego odrzekła księciu: „źle się miewam mości książę, gdyż nie możesz sobie wyobrazić, jak wiele cierpieć musi kobieta ciekawa, kiedy ma zaszczyt znajdować się w towarzystwie ks. Bismarka, a nie posiada odwagi zapytać go, po co właściwie przybył do Wiednia?

Książę Bismark odparł z uśmiechem:

— O! nie mogę patrzeć na pani cierpienie, i dla tego powiem jej bez ogródki, przybyłem do Wiednia, aby z przyjacielem moim Andrassym poszukać igły magnesowej, któraby posiadała siłę przyciągania i skupiania wszystkich żywiołów pokojowych — igły namagnesowanej pokojem.

— Tak? — odparła dowcipna hrabina — ale ta igła wskazuje na północ?

— Bez wątpienia — rzekł ks. Bismarck — to właśnie jest zagadką tej historji.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.